Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena pojedyńczego numeru 30 gr.

PAX

O CHRZE-
ŚCIJAŃSKĄ
KULTURĘ
JUTRA —
DWU-
TYGODNIK

N 13 R 3

POD LUPĄ

MAŁY DZIENNIK (Nr. 109 z 3.IX.35) podaje projekt utworzenia kursów dla beznadziejnych bezrobotnych, gdzieby ludzie, będący ciężarem społeczeństwa i demoralizujący się wskutek zasiłkowego głodowania z dnia na dzień, mogli się nauczyć pracy. „Oczywiście takie przeszkolenie nie może odbywać się na ślepo: muszą być brane pod uwagę zarówno wskazania konjunkturalne, jak i dane statystyczne, a również osobiste uzdolnienia poszczególnych bezrobotnych i dotychczasowy zawód, ich wykształcenie, stan zdrowia i stosunki rodzinne. Kursy przeszkalające najwłaściwiej byłoby, żeby zostały zorganizowane przez odpowiednie związki zawodowe, korzystające na ten cel z zasiłków Funduszu Pracy. Czas trwania i poziom tych kursów byłby różny, zależnie od tego kogo i do jakiego zajęcia miałyby przygotowywać: na roli, w handlu, w rzemiośle, czy w biurowości".

* * *

Ten sam numer MAŁEGO DZIENNIKA podaje interesujące szczegóły, co do wyzysku chałupników w Małopolsce. Np. w Tarnowie istnieją specjaliści krawieccy, którzy wytwarzają części lub nawet całe gotowe ubrania. Za uszycie marynarki płaci się im od 4.60 do 2.40, za pojedyńcze rękawy 0.25, za frencz od 7 do 5.75, za spodnie od 80 gr. do 60 gr., za wiatrówkę 2 zł. Uszycie według podanej miary kosztuje o 100% więcej. Tak np. uszycie smokingu ze spodniami i kamizelką 34 zł. Cyfry te nie mają żadnego wyrazu, jeśli się nie doda, że uszycie marynarki I-go gat. wymaga od 18 – 20 godzin pracy (4.60 zł.), w ciągu 14 godzin (tyle przeciętnie pracują chałupnicy dziennie — co za złośliwe nieprzestrzeganie ustawy o 8 godz. dniu pracy!) można uszyć najwyżej 3 kamizelki, a więc zarobić max. 3.60, — minimum 2.85 zł. Zmyślny Czytelnik sam doliczy do tego: potrzeby fizyczne, kulturalne, higjeniczne, rozrywki i t. d., by otrzymać mniej więcej zbliżony obraz życia takiego chałupnika, obliczyć przeciętną cyfrę wieku, jaką taki chałupnik osiąga oraz wszystkie dolegliwości i choroby, które chałupnik leczyćby musiał. Ostatnio krawcy noszą się z zamiarem stworzenia „Spółdzielni Pracy" przy Związku Zawodowym. Byłaby ona najbliższą instancją między wyrobnikiem a odbiorcą.

* * *

Jeden z dziennikarzy, przypominając wizytę Marsz. Piłsudskiego w Genewie w 1928 roku, opowiada między innemi o swej rozmowie z Waldemarasem w sprawie litewskiej. Taka była jej treść: „w toku tej długiej rozmowy spierałem się niejednokrotnie z ówczesnym premjerem litewskim (dziś więźniem litewskiego rządu) o pokrewieństwo duchowe Polaków i Litwinów. To dziwne — powiedziałem mu, gdy z nieufnością mówił o Polsce — przecież Polacy i Litwini są sobie bliscy. Powinni się rozumieć. Tak nie jest — odparł Waldemaras — psychologja polityczna w obu krajach jest bardzo odmienna. Mojem zdaniem tkwi to w tem, że Polska patrzy w przeszłość, Litwa zaś w przyszłość. W Polsce marzy się o odbudowaniu starych stosunków z XVII w., a w Litwie chce się zapomnieć o przeszłości. Jest jakiś atawizm w duszach litewskich wobec Polski".

Trzeba przyznać, że jest to określenie powodu nieporozumień polsko-litewskich bardzo mętne. Pierwszy lepszy fakt, stwierdzający zainteresowanie przyszłością w Polsce a przeszłością w Litwie obaliłby tę dyplomatyczną teorję.

Jeśli chodzi o wyjaśnianie spraw politycznych, możemy w większości wypadków dać pierwszeństwo czynnikom gospodarczym, zwłaszcza przed „psychologją polityczną i jakimś atawizmem"; (oczywista jeśli istnieje w jakiejś sprawie czynnik gospodarczy, to nie znaczy, że jest on zawsze moralnie usprawiedliwiony. Np. w 80 na 100 wypadkach wojny strona wszczynająca ją ma zazwyczaj poważne powody gospodarcze — tem niemniej wojny takie bywają najczęściej moralnie nieusprawiedliwione).

Dzisiejsza Litwa jest kontynuacją warstwy włościańskiej, która nie ma żadnej pociągającej tradycji w przeszłości polsko-litewskiej, podczas gdy w Polsce żywioł szlachecki niesłychanie rozdrobniony zatrzymał resztki tradycji Jagiellońskiej, jeśli już abstrahować od dzisiejszych motorów gospodarczych. Jest to tylko stwierdzenie stanu rzeczy, bez jakiejkolwiek oceny na niekorzyść nowej Litwy lub na korzyść Polski.

Ten rozdział ludu litewskiego od ludności Litwy z czasów przedrozbiorowych widział już Mickiewicz (ten sam, którego portrety wiszą na ścianach litewskich urzędów, jako poety litewskiego), gdy w przedmowie do „Konrada Wallenroda" mówił:

„... to ogromne państwo, zbyt nagle wzrastając, nie zdołało wyzwolić w sobie wewnętrznej siły, którąby różnorodne jego części spajała lub ożywiała... Słowianie (podbici przez Litwę), oddawna już chrześcijanie, stali na wyższym stopniu cywilizacji; a lubo pobici... od Litwy, ... odzyskali moralną przewagę nad silnym, ale barbarzyńskim ciemiężycielem... Jagiellonowie i możniejsi ich wasale, stali się Polakami... Tym sposobem W. Ks. Litewskie przestało być litewskiem, właściwy naród litewski ujrzał się w dawnych swoich granicach, jego mowa przestała być językiem dworu i zachowała się tylko między pospólstwem". O to właśnie pospólstwo, które nie miało wspólnego języka z dworem, oparła się struktura społeczna dzisiejszego państwa litewskiego i to jest klucz do zrozumienia Litwy dzisiejszej i jej niechęci do stosunków z Polską.

* * *

W Nr. 8 PAX-u umieściliśmy notatkę p. t. „Skrótomanja". Oto dowcip MUCHY na ten temat:

— „Słyszałem, że państwo udzielacie się bardzo pracy społecznej?

— A tak! Ja należę do B. B. W. R. jako delegat P. P. S. F. R. i sekretarz Z. Z. Z. oraz Z. O. R. R. P., oprócz tego na P. K. P. prowadzę K.P.W., jako instruktor P.W. i W.F. z ramienia C.I.W.F. i jestem korespondentem I.K.C. Żona należy do Z.P.O.K. i pracuje w P.C.K. i T.C.L., a także w R.W. i Y.M.C.A. Starszy syn, który należał do L.M. oraz Z.H.P. i K.S. „Gool" zdobył P.O.S. i O.S., a ma posadę w B.R. Młodszy, należy do Z.P.M.D., jest skarbnikiem L.O.P.P. a sekretarzem w O.M.P. i J.Z.M. Starsza córka pracowała początkowo w P.K.O., a później w B.G.K. Obecnie jest referentką W.Ob. z ramienia M.W.R. i O.P., w Z.S. przy Z.S. i w O.O.Z.S. oraz P.J.Z.Z.M. „Liga", jest również współpracowniczką C.I.F. i I.S.S.".

Litanję tę możnaby ciągnąć bez końca: Z.U.P.U., P.O.W., O.W.P., D.O.K., M.S.Z., P.K.U., S.M.P., P.M.S., A.Z.S., N.D, P.U.W.F..... nie warto wypisywać wszystkich kombinacyj literowych, jakie stworzono. Z tą literniczą manją stanowczo trzeba rozpocząć walkę—bo dojdzie do tego, że zaczniemy mówić do siebie samemi literami. Czyżby nie starczyło nam pomysłowości na jakieś krótkie, a piękniejsze nazwy urzędów i instytucyj?

* * *

Marksiści próbują rozciągnąć swą filozofję na wszystkie dziedziny życia i rzeczywiście wiele zagadnień potrafili podciągnąć pod swój kąt widzenia. Często jednak prowadzi to do komicznych jaskrawości. Przykład: LEWAR (nr. 10) w „odpowiedziach redakcji" tak charakteryzuje nadesłane do oceny wiersze: „... W jesieni znać dużo wyczucia natury, ujętej jeszcze dość szablonowo, widać że **nie patrzył Pan na nią oczyma proletarjusza,** choć Pan nim jest", (podkreślenia nasze). Podobnych kwiatków znaleźlibyśmy więcej. Cóż za tępota! — Czy patrzy pan na kartofle oczyma proletarjusza, czy burżuja? A na befsztyk? A na kalosze? A na inteligencję?

W NUMERZE:



O CHRZEŚCIJAŃSKĄ KULTURĘ JUTRA
DWUTYGODNIK

WILNO - POZNAŃ - KRAKÓW - LWÓW - WARSZAWA

ROK III — Nr. 13 1 WRZEŚNIA 1935

MIKOŁAJ BIERDIAJEW

PANOWANIE TECHNIKI

I

Potęga techniki i maszyny jest nierozłącznie związana z kapitalizmem; zrodziła się w łonie świata kapitalistycznego jako potężny środek rozwojowy kapitalistycznego systemu gospodarczego. Komunizm przejmuje z cywilizacji kapitalistycznej hypermechanizm i hypertechnizm bez jakiegokolwiek ograniczenia i stwarza r e l i g j ę m a s z y n y, którą czci jak bóstwo. Tutaj ujawnia się głęboki wewnętrzny stosunek komunizmu do kapitalizmu, oraz związek istniejący między ateistyczną wiarą komunizmu i areligijnością świata nowoczesnego.

Człowiek nowoczesny postradał wogóle wiarę. Wyzwolił się również z optymistycznych iluzyj, które otaczały człowieka XIX stulecia. Atoli pod jednym względem pozostał przecież optymistą i daje się kierować jednej wierze: hołduje jednemu bożyszczu i w imię jego gotów jest do wszelkich ofiar. Człowiek nowoczesny wierzy w potęgę techniki i maszyny i niejednokrotnie zdaje się, że maszyna i technika stały się jedynemi przedmiotami jego wiary.

Ten optymizm posiada nawet swoje uzasadnienie. Owe zawrotne wyczyny techniki oznaczają prawdziwy cud świata dla świata pogrążonego w grzechu, w brudzie nieprawości. Ten cud stworzył, obdarzył życiem sam człowiek, jest twórcą jego genjuszu, jego rozumu, jego wielkiej przemyślności, jest tworem jego ducha. Udało się człowiekowi oswobodzić drzemiące siły natury, jakby wykraść i zużytkować je do swoich osobistych celów, wprowadza on zasady celowości do działania sił mechanicznych, fizycznych i chemicznych. Człowiek był spragniony rzeczy nadzwyczajnych, zdolnych obudzić wiarę. Zdawało mu się, że już nic nadzwyczajnego stać się nie może. Tymczasem zjawiła się technika i stworzyła cud za cudem.

Technika stała się ostatecznym kresem umiłowań nowoczesnego człowieka. Dla jej imienia i jej kultu gotów jest siebie i własną swoją postać wystawić na los fatalnej przemiany. Uwielbianie maszyny zdobywa coraz bardziej jakiś niemiły, obcy i tajemniczy charakter i grozi człowiekowi niebezpieczeństwem, godzącem w głębie jego istoty.

Jakże zareagowała naten problemat, religijna i chrześcijańska świadomość?

Z całą stanowczością musimy zdecydowanie stwierdzić, że chrześcijanie okazali się najzupełniej nieprzygotowani do ocenienia roli techniki i maszyny, jej duchowej roli w ludzkiem życiu. Chrześcijańska świadomość stoi bezradna wobec potężnego przewrotu, jaki sprowadziło wtargnięcie techniki i maszyny w życie człowieka. W chrześcijańskim świecie wytworzyło się dwojakie nastawienie do maszyny. Większość chrześcijan uważa technikę za sferę religijnie neutralną i duchowo obojętną. Technika — jak mniemają — jest rzeczą inżynierów i wynalazców. Udoskonala ona życie materjalne i stwarza wygody, z których także korzystają chrześcijanie; pomnaża dobra życiowe i podnosi poziom dobrobytu materjalnego co staje się również pożytecznem dla chrześcijan. Na technikę zapatruje się ogół jako na specjalną dziedzinę, która nie zdolna jest poruszyć chrześcijańskiego uświadomienia, ani chrześcijańskiego sumienia i że w tej dziedzinie nie może powstać żaden problem natury duchowej.

Natomiast pewna mniejszość chrześcijańska przeżywa technikę w perspektywach apokaliptycznych; jest do głębi zaniepokojona wtargnięciem maszyny w życie ludzkie i jest gotowa dopatrywać się w niej triumfu zbliżającego się królestwa antychrysta, zwycięstwa „bestji występującej z głębin otchłani“.

Oba zapatrywania nie dają zadawalniającej odpowiedzi na postawione pytanie: w jednym wypadku jest to ucieczka przed współodpowiedzialnością za rezultaty ludzkich wyczynów, w drugim zrzeczenie się twórczej interwencji w losach świata. Takie ustosunkowanie się do techniki spowodowało poważne szkody i wiele złego; lekceważenie tej sfery, jakoteż jej absolutne potępienie wystawiły ducha i duszę ludzką na niszczycielskie procesy mechanizacji i technizacji i postawiły człowieka w strefie największych niebezpieczeństw.

II.

Panowanie techniki i maszyny dowodzi pewnej nowej rzeczywistości, której nie przewidziały istniejące nauki. Mniemanie, że owa rzeczywistość, którą technika wytworzyła, jest wciąż jeszcze tą samą, do której doszły dawne matematyczno-mechaniczne nauki, t. j. stara fizyka, chemja, mechanika, jest błędem. Przedewszystkiem ta nowa rzeczywistość nie istniała przed wynalazkami, jakich dokonali ludzie nowocześni. Nie jest ona także żadnem odźwierciedleniem świata mechanicznego. Wprawdzie rządzą nią energje mechaniczne, fizyczne i chemiczne, mimo to jest ona rzeczywistością *sui generis*, powstałą jako ostatni stopień kosmicznego procesu, w skomplikowanym socjalnym rozwoju na wyżynach dojrzałej cywilizacji.

Oczywiście, że i sztuka także wytwarza pewną nową rzeczywistość, nie istniejącą w naturze. Postaci artystycznej twórczości i bohaterowie epiki czy dramatu wiodą pewne indywidualne bytowanie. Don Quichote, Hamlet albo Faust, Mona Liza Leonarda i IX symfonja Beethovena należą do artystycznej rzeczywistości, mają swój własny los, wywierają pewien głęboki wpływ na życie człowieka i żyją w swojem działaniu wiecznie. Ludzie kultury żyją w środowisku tych rzeczywistości. Atoli ta rzeczywistość, która przejawia się w sztuce, ma symboliczny charakter; odzwierciedla ona ponownie pewien idealny świat. Technika natomiast wytwarza rzeczywistość pozbawioną wszelkiego symbolicznego sensu.

Technika wywiera pewien potężny wpływ na sztukę: niejako przeobraża sztukę. O tej przeobrażającej sile świadczy kinematograf, który coraz bardziej wypiera stary teatr. Kino mogło powstać jedynie na skutek wielkich odkryć i wynalazków na polu optyki i akustyki, które zrobiły na dawniejszych ludzi wrażenie prawdziwego cudu. Siła oddziaływania kinematografu jest ogromna. Kino opanowuje to wszystko wobec czego stary teatr był bezsilny: pustynie, ocean, góry, przepaś-

OD WYDAWNICTWA

Numer niniejszy dajemy Sz. Czytelnikom w nowej szacie graficznej. Do zmiany skłoniła nas konieczność oszczędności miejsca— w obecnym dziesięciostronicowym układzie dajemy w numerze około 25 proc. tekstu więcej, niż dawny ośmiostronicowy PAX liczył. Zmianę jednak obecną wprowadzamy tylko tytułem próby — prosimy wszystkich naszych Sz. Czytelników o wypowiedzenie się w sprawie tych zmian. W razie liczniejszych życzeń powrotu do układu dawnego nr. 15-ty PAXu ukaże się w szacie dotychczasowej. Jednocześnie Redakcja prosi o wszelkie uwagi, dotyczące treści poruszanych w piśmie zagadnień i t. p., wszystkie te uwagi skrupulatnie weźmie pod uwagę i w miarę możności zastosuje je w dalszej swej pracy.

Administracja przypomina o odnowieniu prenumeraty i wyrównanie dawnych zaległości, załączając blankiety rozrachunkowe.

cie, nawet sam czas — wszystko staje mu się powolne. Kino dźwiękowe i radjo nie zwracają się do jakiegoś określonego audytorjum, które się gdzieś w jakiemś miejscu na ziemi zebrało; mówią do wszystkich krajów i państw, do wszystkich części i stron świata, do wszystkich narodów, do całej ludzkości. Są one niezrównanym środkiem zjednoczenia ludzi, nawet gdy się ich używa pod znakiem najwulgarniejszych i najgorszych celów.

Technika ma pewne kosmogoniczne zadanie; wytwarza ona pewien nowy kosmos. Obok królestwa ciał aorganicznych i organicznych powstaje pewne nowe królestwo zorganizowanej natury: państwo maszyny, które od tamtych obu różni się w samych podstawach. Maszyna, ciało zorganizowane, jest nową kategorją bytu. Stworzenie tego nowego ciała jest w bezpośrednim związku z różnicą między organizmem i mechanizmem, między organizmem i organizacją.

Błędem byłoby zaliczać maszynę do królestwa ciał aorganicznych — z tego jedynego względu, że elementy, w jakich buduje się maszynę, natury aorganicznej są zapożyczone z rzeczywistości fizycznej, chemicznej, mechanicznej. Maszyny nie istnieją w naturze; istnieją jedynie w świecie socjalnym. Te zorganizowane ciała nie powstają jak aorganiczne przed pojawieniem się człowieka na tym świecie; wpierw musi istnieć człowiek, aby zbudować było można maszynę.

Udało się człowiekowi powołać do życia nową rzeczywistość. Jest to znak pewnej nadzwyczajnej siły, należącej do twórczego powołania i królewskiego stanowiska człowieka w świecie. Atoli jest to zarazem oznaka jego bezsilności: gdyż ta nowa rzeczywistość grozi mu nową niewolą.

Maszyna ma ogromne znaczenie; socjologiczne i kosmologiczne; z niezwykłą surowością stawia ona problem ludzkiego losu w społeczeństwie i w kosmosie. Kwestje, odnoszące się do stosunku między człowiekiem i naturą, między osobowością i społeczeństwem, duchem a materją, tem, co irracjonalne i racjonalne należą całkowicie do zakresu tego problemu. Godnem uwagi jest to, że do dziś dnia nie napisano jeszcze filozofji maszyny i techniki, aczkolwiek poświęca się wiele książek temu tematowi. Wiele zrobiono już do przygotowania tego filozoficznego samouświadomienia; atoli najważniejszego jeszcze nie zrobiono: maszyny i techniki nie ujęto jeszcze jako problemu duchowego, jako losu człowieka.

Naogół poznaje się maszynę tylko od zewnątrz, na płaszczyźnie socjalnej. Atoli od wewnątrz stanowi ona problem filozofji ludzkiego istnienia, filozofji bytowania.

Czy może człowiek żyć jedynie i wyłącznie w starym kosmosie, który zdawał się być jakimś wiecznym porządkiem natury, czy może również egzystować w nowym, powstającym i jeszcze nieznanym świecie? Chrześcijaństwo, z którem nierozłącznie związany jest los człowieka, stoi przed jakimś nowym światem; atoli nie zajęło ono jeszcze swego stanowiska wobec tego nowego świata. Chrześcijańskie uświadomienie musi ten nowy świat sobie przyswoić i ożywić go duchowo. Każde nowe zjawisko musi być wpierw wypróbowane w doświadczeniu duchowem, zanim może się stać przedmiotem poznania fizjolofícznego. Kwestja filozoficznego opanowania techniki i maszyny zależy więc od tego, czy i kiedy chrześcijańskie uświadomienie tym problemem się zainteresuje i ujmie go głęboko w duchu chrześcijańskim.

Co oznacza atoli nastanie epoki technicznej i powstanie nowego kosmosu dla losu człowieka i jego istnienia? Czy oznacza to zmaterjalizowanie człowieka, zmierzch ducha i zanik duchowości? Czy też mają te potężne zjawiska jeszcze jakiś inny sens?

Rozłam między duchem i starem organicznem życiem, zmechanizowanie życia wywołuje wrażenie zaciemnienia duchowej atmosfery i zmierzch ducha w świecie. To wrażenie potwierdza jeszcze dotąd niebywała przewaga materjalizmu. Zrost ducha z ciałami historycznemi znamienny dla starych organicznych kultur, ujmuje większość ludzi jako pewny wieczny, naturalny porządek. Skoro duch poczyna się odłączać od ciała w ztechnizowanej kulturze, to ujmuje się takie zjawisko, jako zanikanie ducha i odduchowienie kultury. Istotnie wiele duchowych i kulturalnych wartości z nastaniem epoki technicznej całkowicie zanika.

Szczególnie przykre wrażenie wywiera na nas obraz technicznej rozbudowy w Rosji Sowieckiej. Tymczasem charakter nowoczesnej Rosji nie opiera się na technice wyłącznie, gdyż z technicznego punktu widzenia przoduje Ameryka tak dalece że jej z pewnością dorównać nie można. Atoli charakterystyczne jest w komunistycznej Rosji zjawisko duchowe, mające swój wyraz w stosunku do rozwoju duchowego. Tutaj przeżywamy w rzeczywistości coś niebywałego, powstanie jakiejś nowej postawy duchowej związanej z jakąś „techniczną eschatologją".*) Ta właśnie eschatologja—w pewnym sensie odwrócenie chrześcijańskiej — wytwarza chrakterystyczny obraz komunistycznego bytowania, wywierający głęboko niepokojące wrażenie.

Technika i ekonomika jako takie mogą w sensie duchowym być neutralne; atoli stosunek człowieka do techniki jest nieuchronnie duchowym problemem. Czasem wydaje się, jakgdyby żyli w czasie stanowczego zaprzeczenia mądrości w jej starym szlachetnym sensie dzięki przeważającej i decydującej potędze techniki. Ztechnizowanie ducha i rozumu jest pierwszym objawem ich zmierzchu. Ludzie dawnego świata i dawnej kultury widzą naszą epokę właśnie w eschatologicznem zabarwieniu: jako zmierzch ducha i upadek kultury.

Chrześcijańska eschatologja oczekuje przemienienia świata i ziemi pod wpływem ducha bożego. „Techniczna eschatologja" wyczekuje stanowczego panowania człowieka nad światem i ziemią i buduje swoje nadzieje na wierze w technikę. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że stanowisko chrześcijaństwa w stosunku do życiowej problematyki jest jasno określone tym dylematem: albo wierzy się w ducha Bożego, albo tylko w ludzką technikę. W rzeczywistości jednak takie „albo — albo" nie rozwiązuje w żaden sposób istniejącego i eschatologicznego problemu techniki. Technika, która przestała być neutralną, nie potrzebuje wkraczać bezwarunkowo w antychrześcijańską eschatologię. Technika bowiem ma podwójny sens odnośnie do rzeczy ostatecznych, jak zresztą wszelkie doświadczenia i zjawiska tego świata. Na czem jednak ów podwójny sens techniki polega?

Technika to nie jest sprawa teoretyczna. Posiada ona jakąś potężną moc realizacji i użycza np. kopernikowemu poglądowi na świat pewne nowe duchowe znaczenie. Niedawno jeszcze mógł człowiek wbrew Kopernikowi żyć w przeświadczeniu, że ziemia, a nawet on sam jest centrum świata. Technika, stawiająca człowieka w pewnym aktywnym i realnym stosunku do przestrzeni, burzy stanowczo stary kosmos, podnosi po raz drugi ziemię z jej biegunów, zrewolucjonizowuje w ten sposób porządek życia człowieka i wywołuje w niej głębokie zmiany. Technika jednoczy człowieka z przestrzenią i jego nieskończonością i wywołuje w nim podwójną reakcję. Człowiek przeraża się nieskończonością i czuje się zamienionym w maleńki proch, który jakby zgubiony, unosi się w przestrzeń. Z drugiej strony daje mu technika świadomość jego potęgi, otwiera przed nim możliwości zdobywania nieskończonego świata, obudza w nim tytaniczną wprost wolę. Po raz pierwszy zdaje się człowiekowi, że istotnie staje się królem i panem ziemi, a może nawet całego świata. Stosunek człowieka do miejsca i czasu podlega radykalnej zmianie. Przedtem było bezpośrednie zetknięcie z matką ziemią, która chroniła go przed druzgocącą potęgą miejsca i czasu. Teraz zaczyna on opanowywać miejsce i czas; nie lęka się oderwać od ziemi; tęskni za przestrzenią i probuje ją coraz dalej przeniknąć. Jest to znak dojrzałości człowieka, który zdaje się nie potrzebować już więcej troski i opieki Matki-ziemi. Zato walka o życie staje się przez to surowsza, z drugiej zaś strony technika czyni życie wygodniejszem. Ten podwójny skutek techniki — stopniowanie komfortu i mnożenie niebezpieczeństw, zniewieściałość, fizyczny i psychiczny hart człowieka — wszystko to pozostaje bezpośrednio w związku z podwójnem znaczeniem techniki dla ducha ludzkiego i z dwojakim eschatologicznym sensem techniki.

Także w swoich najwyższych formach mogły stare kultury opanowywać tylko ograniczone przestrzenie ziemi i masy ludzkie. Tak było w najdoskonalszych kulturach przeszłości: w starej Grecji, w

---

*) Eschatologiczny kąt patrzenia na świat, wyczekujący zejścia Niebieskiego Jeruzalem na ziemię, powszechnego zbawienia etc. jest kątem widzenia b. charakterystycznym dla rozważeń Bierdiajewa, jak zresztą całej mistycznej filozofji rosyjskiej.

Italji renesans, w XVII-tem stuleciu we Francji, i w Niemczech na początku XIX. Kultura była tutaj zawsze wyrazem zasady wyboru jakościowego. Stara kultura jest wobec takich wielkich mas bezsilna; nie rozporządza ona metodami, mogącemi użyczyć jej panowania nad wielką liczbą. Technika opanowuje natomiast niebywałe przestrzenie i masy ludzkie. Przy pomocy techniki zdobywa wszystko pewien charakter światowy i odnosi się do wszystkich ludzi i całej ludzkości. W tem tkwi właśnie socjologiczne znaczenie techniki. Epoka techniczna jest okresem demokratyzowania, socjalizowania i kollektywizowania. Życie dawnych epok kształtowało się pod wpływem religji, czyniącej zbyteczne organizowanie mas ludzkich w nowoczesnem tego słowa znaczeniu. Porządek i to bardzo trwały porządek opierał się na zasadzie religijno-organicznej, która w zupełności wystarczała do utrzymania społeczeństwa i kultury.

Technika, użyczająca człowiekowi uczucia jakiejś niebywałej mocy, jest zwyrodnieniem woli wobec potęgi i ekspansji. Ta właśnie wola stworzyła europejski kapitalizm i obudziła masy narodów do życia historycznego. Kapitalistyczna forma życia burzy porządek organiczny i stawia pewne nowe socjalne zadanie — zorganizowania wielkich mas ludzi—mogące być rozwiązane jedynie z pomocą techniki. Ta nowa forma życia, owe ztechnizowane życie burzy niezaprzeczenie piękno starej kultury, dawnego porządku życia. Owe masowe techniczne organizowanie istnienia niszczy każdą indywidualność, właściwość i oryginalność i wyciska na wszystkiem pieczęć bezosobowości i bezwyrazowości. Cała produkcja osiąga jakiś anonimowy charakter i staje się bezdusznym przemysłem. Burzy się przytem nietylko indywidualny charakter zewnętrznej, plastycznej strony życia, ale także indywidualne cechy ludzkiej osobowości.

Ta burzycielska robota techniki wywołuje oczywiście pewną reakcję. Powstaje pewien romantyczny rokosz przeciwko maszynie. Dla powodów obyczajowych potępia Tołstoj nową formę kultury, ze względów estetycznych Ruskin odrzuca maszynę. Tej walki z techniką nie można przeprowadzić konsekwentnie, opiera się ona na pewnej obronie zestarzałych form technicznych, nie mogąc wyrzec się techniki wogóle. Jeżeli przeciwnicy techniki odrzucą środki komunikacji napowietrznej, będą musieli posługiwać się koleją żelazną i samochodami; jeżeli się zrzekną kolei podziemnej, pozostaną przecież jeszcze tramwaje; jeżeli uważać będą kino dźwiękowe za nieartystyczne, przecież stare nieme kino pozostanie jeszcze ulubieńcem pięknych minionych czasów.

Wstrętny i ponury charakter naszego nowoczesnego życia upoważnia nas często do idealizowana minionych epok kultury, które nie znały maszyny. Zapominamy jednak, że to dawne, niestechnizowane życie było połączone z niebywałym wyzyskiem ludzi i zwierząt, z serwilizmem i niewolą i że maszyna może być potężnym środkiem do wyzwolenia człowieka z niewoli. Ten sens podwójny przeszłości przedstawił mistrzowsko Puszkin w swoim wierszu „Wieś". Puszkin przedstawia niewymowny powab wsi rosyjskiej i wiejskiego życia; nagle przypomina sobie o tem, że to życie powstało dzięki niewolnictwu człowieka.

W problematyce idealizowania przeszłości napotykamy na paradoks czasu. Przeszłość, zachwycająca nas i pociągająca, nigdy nie istniała. Jest ona wynikiem naszej twórczej wyobraźni. Prawdziwą przeszłość oczyściła nasza imaginacja, wydaje się nam być ona wolna od wszelkiej brzydoty i wszelkiego zła, które w niej jednak było. Kochamy tę przeszłość, którą przejęła wieczność. Ale ta przeszłość nie istniała w owej przeszłości, jest to ułamek naszej teraźniejszości, którą budujemy z elementów przeszłości. W tej przeszłości istniała pewna inna rzeczywistość, także przesiąknięta brzydotą i złem. Jest to dowód, że nie kochamy tego, co minęło, ale to, co jest wieczyste w przeszłości. Powrót do minionej, nieistniejącej przeszłości jest niemożliwością; powrót do przeszłości w jej prawdziwej postaci byłby niedorzecznością. Możemy tylko tęsknić do powrotów „wiecznej przeszłości;" atoli to, co wieczne, wyłączamy pewnym odmiennym aktem twórczym z minionej rzeczywistości i wyzwalamy z wszelkich zaćmień naszego istnienia.

Niema zatem żadnego sensu, starać się o powrót do gospodarstwa naturalnego i patrjarchalnego porządku życia, do oddania pierwszeństwa gospodarstwu rolnemu i rzemiosłu w życiu ekonomicznem, jak to uczynił Jan Ruskin. Człowiek musi kroczyć własnemi drogami. Masy ludzkie, mijając obecnie scenę historji, domagają się nowych form organizacyjnych i nowych środków ukształtowania życia. To co my teraz określamy jako „epokę techniczną", nie ostanie się wiecznie. Czas niesłychanej przemocy techniki nad duszami ludzkiemi skończy się; koniec jej nie znaczy zaprzeczenia techniki, ale jej podporządkowanie mocy ducha:

Człowiek nie może wiecznie być przywiązany do ziemi i żyć w zupełnej od niej zależności; nie może on jednak oderwać się zupełnie od ziemi i osiedlić się w przestrzeni świata. Zawsze jakieś więzy będą musiały łączyć człowieka z ziemią; gospodarstwo rolne nie zaniknie, gdyż bezeń człowiek nie może istnieć. Wewnętrzny stosunek człowieka z naturą — z czem łączy się druga strona problemu — nie może być również rozerwany; zniesienie tego stosunku przez techniczny aktualizm prowadzi nietylko do zniekształcenia natury, ale również do zniekształcenia człowieka. Aż do końca świata nie danem będzie człowiekowi zdobycie raju; nieustannie pozostaje pamięć o raju i tęsknota za nim w duszy ludzkiej, a życie ziemskie zachowa pewien odblask tego raju — w promieniejącej piękności natury i sztuki.

Przyszłości człowieka nie można sobie wyobrazić jako pewnej jednolitej epoki. Przyjdą jeszcze reakcje przeciw technice i maszynie, próby, torujące powrót prastworzonej naturze. Technika i maszyna nie znikną jednak, dopóki człowiek kroczyć będzie po drogach ziemi.

Artykuł powyższy składa się z kilku wyjątków cyklu artykułów Mikołaja Bierdiajewa p. t. „Człowiek i technika".

ALEKSANDRA UMIASTOWSKA

ŚPIEW GREGORJAŃSKI

Śpiew gregorjański — to śpiew liturgiczny Kościoła. Ma jeden tylko cel, a tym celem jest chwała Boża, modlitwa. Modlitwa w kościele, modlitwa wspólna i publiczna. Jest tu wyrażony nasz stosunek do Boga, stosunek wszystkich ludzi w Domu Bożym, a przez to podległy pewnym obrządkom i otoczony pewnemi ceremonjami.

Śpiew gregorjański — to śpiew religijny par excellence, ale nie wypełnia sobą całej dziedziny muzyki religijnej. Musimy tu zaznaczyć różnicę między muzyką religijną wogóle, a muzyką kościelną. Muzyka religijna posiada dużo arcydzieł, których miejsce jest jednak nie w Kościele, a tylko na estradzie koncertowej. Pomimo, że są to dzieła często wielkie, głębokie, potężne—są one jednak wyrazem indywidualnego i subjektywnego ducha twórcy, jak n. p. Msze Bacha, Beethowena, Mozarta, nawet niektóre msze Palestriny. Niedawno zmarły krytyk muzyczny francuski Camille Bellaigue pisze w swych szkicach muzycznych, że, tak jak w innych dziedzinach twórczości artystycznej, tak i w dziedzinie muzyki śledzić możemy ewolucję myśli religijnej, że melodje i harmonje tak samo interpretują tę myśl jak formy, barwy i słowa. Że, sługi powolne ideału zmiennego, potrafiły odtworzyć kolejno różne stany ducha ludzkiego: kontemplacyjne, dramatyczne, radosne. Że w muzyce, jak i w innych sztukach, czasem „upodobanie w boskiem" zajęło miejsce miłości Bożej „le goût du divin a remplacé l'amour de Dieu" i cytuje słowa J. Lemaitre'a, że jest to „pobożność bez wiary. *)

A podłożem wiary jest to niezmienne, nieprzemijające, stałe i uniwersalne. To podłoże niezmienne wiary jest w równej mierze podłożem liturgji, stanowi jej treść istotną. I sztuka, żeby być liturgiczną, musi się temu z kolei poddać i przystosować do tego. Muzyka tem bardziej jest obowiązana do tej uległości, że znacznie bliżej, istotniej związana jest w liturgji ze słowem niż inne sztuki. Tamte stanowią tylko tło, ramę zewnętrzną, w której się odbywa służba Boża — muzyka przeciwnie — tkwi w samychże słowach. Ona je ożywia, jest jakgdyby ich emanacją, promieniowaniem.

Śpiew gregorjański jest **tylko śpiewem** i to jest jego pierwsza cecha. Papież Pius X mówi: Śpiew gregorjański ma za główne zadanie przyoblecznie w odpowiednią formę tekstu liturgicznego, przedłożonego ku zrozumieniu wiernym. Celem jego jest dodanie większej skuteczności samym tekstom, aby wzniecić pobożność

*) C. Bellaigue „Les époques de la musique"

i ułatwić wiernym przygotowanie się do lepszego przyjęcia owoców łaski, które wypływają z odprawiania Św. Tajemnic. Jego jedynem zadaniem jest wierne oddanie myśli i uwypuklenie słów wyrażonych. N. p. w Credo przy słowach: „Et unam, sanctam, catholicam Ecclesiam" — melodja zatrzymuje się po każdem słowie dla dokładnego odznaczenia każdego z tych atrybutów. Tak samo Kyrie ze mszy Requiem—całe oparte na jednej i tej samej melodji, obraca się na niższej połowie gamy zawsze z opadającą kadencją — dopiero na ostatnią inwokację nieoczekiwanie przechodzi ku górze i wybucha tak triumfalną nutą, jak gdyby w tej melodji już się wyróżniała myśl słów prefacji za zmarłych. Myśl o przezwyciężeniu śmierci w zmartwychwstaniu: „In quo nobis spes beatae resurrectionis effulsit, ut quos contristat certa moriendi conditio, eosdem consoletur futurae immortalitatis promissio".

W zasadzie i ściśle przytrzymując się teorji, czy też wedle ideału gregorjańskiego, śpiew ten powinien odbywać się bez wszelkiego akompanjamentu. W praktyce — zwykle towarzyszą mu organy. Ale ten akompanjament powinien być bardzo dyskretny i często, akompanjament źle wyczuty może zupełnie sfałszować i zakłócić harmonję melodji.

Śpiew gregorjański jest nietylko wokalny (t. zn. tylko śpiew) ale jest też w pełni werbalny. Słowo jest tu panem i królem. Bez słowa traci on rację bytu, przestaje wogóle istnieć (i dlatego jakaś melodja gregorjańska tylko odegrana nie robi żadnego wrażenia, nie można jej zrozumieć). Sens melodji nadają dopiero słowa — a znowu słowa ożywają przez melodję. Nigdzie niema tak ścisłego zjednoczenia pomiędzy słowem i tonem jak tutaj. Nietylko żadna muzyka w tym stopniu co gregorjańska nie szanuje akcentu, na którym jest cała oparta, ale i żadna nie jest tak giętka i czuła na wartość i względną ważność poszczególnych słów. Bellaigue pisze: „przez dokładne rozłożenie świateł i cieni muzyka gregorjańska prawdziwie modeluje mowę. Czasem podkreśla, zaciąży, opiera się mocniej — a nigdy nie przygniecie; czasem, nie zagłuszając oplata; czasem prześlizgnie się tylko i, jakby igrając przechodzi. Podczas gdy w naszej nowoczesnej wielogłosowości szukamy prawdy i różnorodności wyrazu w harmonji i barwie — to melodja gregorjańska znajdowała ją wyłącznie w słowie. Nie powiemy, że do słów została „dorobiona" melodja, ale że muzyka wyszła, wytrysnęła ze słów samych, w których była zawarta i jakby in potentia. *)

Drugą cechą śpiewu gregorjańskiego jest jego homofoniczność, czyli **jednogłosowość**. Posługując się tylko głosami, czyni z nich jeden głos. Śpiew homofoniczny, to możliwe minimum muzyki, poza tem zostałoby już tylko czyste słowo. „Z istoty swej religijny, śpiew gregorjański jest nim jakgdyby podwójnie: będąc łącznikiem pomiędzy Bogiem i ludźmi — jest też łącznikiem ludzi pomiędzy sobą".**) Tu przejawia się jego charakter zbiorowy i braterski. W jednym i tym samym śpiewie łączy wszystkich, wszystkim umożliwia wzięcie w nim udziału. Żaden głos indywidualnie się nie wybija na pierwszy plan, żaden nie przewodzi, ale wszystkie dążą do kompletnego zjednoczenia się wedle słów Chrystusa Pana „Sint unum". W unisonie gregorjańskim może być pięćset, czy nawet pięć tysięcy głosów, zawsze będzie to tylko jeden głos. I właśnie ta jedność, którą śpiew gregorjański oznacza, którą ustanawia w nas i pomiędzy nami — ta jedność, analogiczna do jedności Boskiej — stanowi pomiędzy przedmiotem muzyki gregorjańskiej, a który jest boski, a tą muzyką samą—nową i duchowną zgodność.

Trzecią cechą śpiewu gregorjańskiego jest jego starożytność. Jest współczesny temu, co opiewa: ten sposób wyrażania się pojawił jednocześnie z ideami i uczuciami które wyraża — dlatego wyraża je wiernie.

Rytm śpiewu gregorjańskiego jest swobodny. Bellaigue mówi *), że im bardziej zagłębiać się w studjowanie śpiewu gregorjańskiego, tem więcej się odkrywa jego piękna, wartości i dobrodziejstw. Wiernie uległy ideałowi religijnemu, nie jest jednak uległy niewolniczo. Wolny od wszelkiej harmonji, jest też swobodny w swoim rytmie i swobodny w melodji. Ta swoboda ruchu wyraża się w tem, że śpiew gregorjański jest podległy rytmowi, ale nie jest podległy taktowi, miarze, t. zn. metrum, odbywającemu się w określonym, równym co do czasu trwania, przeciągu czasu. Rytm gregorjański jest giętki, umiarkowany, zawsze idzie naprzód, nigdy się nie ociągając i nigdy nie śpiesząc. Wszelkie kombinacje przyjmuje, byle były dobrze dostosowane i harmonijne. I na tem właśnie polega różnica pomiędzy muzyką gregorjańską, naturalną i swobodną, a muzyką nowoczesną, a też i muzyką grecką — muzyką miarową. W muzyce gregorjańskiej rytm jest naturalny i swobodny — nuty nie posiadają określonej wartości co do czasu trwania. Trasa melodyjna nie dzieli się, nie równoważy się i nie organizuje według miary nieugiętej, a tylko według budowy i podziału tekstu literackiego. Pauzy tak samo są niezależne jak nuty, milczenie tak samo swobodne, jak dźwięk.

W niczem nie daje się odczuć tyranja ani skrępowanie. Wszystko oddycha swobodą, giętkością. A jednak tyle swobody nigdy się nie przeradza w dowolność. Rytm nie jest nieobecny on istnieje, daje się wyczuć, ale wymyka się ze ścisłych przegródek i obliczeń matematycznych. Zbliża się o ile możliwe do natury. Podobna różnica zachodzi pomiędzy rytmem miarowym, a rytmem gregorjańskim, jak między wierszem rytmicznym, podległym określonemu metrum a prozą poetycką.

Tak samo jak rytm, tak i melodja jest swobodna. Czasem jest sylabiczna—czasem na jednej zgłosce początkowej, albo końcowej powstają bogato ozdobne melizmaty (ozdobniki), a często nawet w środku słowa, nie naruszając, pomimo to w niczem zrozumiałości tekstu. Gdyż nigdy nie są to wokalizy jedynie dla popisu śpiewaka, ale są same przez się melodją, wyrażają myśl głęboką albo szczere uczucie. Jeżeli za ciasno melodji w ramach tekstu, jeżeli się w tych ramach nie może dostatecznie wypowiedzieć, wtedy, z całą swobodą odrzuca krępujące ją więzy sylabiczności i staje się muzyką czystą. A pomimo to, przedziwnym jakimś sposobem nigdy nie zostanie naruszony sens zdania ani słowa. Ci anonimowi twórcy śpiewów gregorjańskich mieli jakąś tajemnicę rozwiązania problemu stosunku muzyki do słowa — problemu nad którym pracowali wszyscy wielcy twórcy, a żaden idealnie go nie rozwiązał.

Jedna jest jeszcze zasadnicza różnica pomiędzy muzyką gregorjańską a nowoczesną — to ta, że, o ile w muzyce naszej nuta główna (t. zn. ta, która raz przyjęta staje się wzorem dla wszystkich dalszych) jest podzielna, aż do zupełnego rozdrobnienia, co tej muzyce właśnie nadaje charakter zmienności i niestałości, to w muzyce gregorjańskiej nuta główna jest niepodzielna. Odpowiada co do czasu trwania sylabie i tak samo, jak nie można rozdzielić sylaby — nie można i nuty rozdzielić — nie znaczy to jednak, że wszystkie nuty są równe — ruch ich jest taki sam jak słów, które wedle tego co mówimy przyśpieszamy, albo zwalniamy. Dom Mocquerau mówi, że ta właśnie różnica zasadnicza wywiera znaczny wpływ na ruch ogólny zdania i na jego wyraz estetyczny. Że właśnie tej niepodzielności nut kantylena gregorjańska zawdzięcza w znacznej mierze swój spokój, słodycz i łagodność. A Bellaigue komentując te słowa pisze: „Zapamiętajmy te ostatnie cechy i tę najwyższą zgodność pomiędzy śpiewem gregorjańskim i jego celem. Nadludzki — może, nieludzki — nigdy. Tym, którzy mu się poświęcają codziennie daje radość czystą. Jest więcej śpiewem miłości, niż wiary nawet. Na jeden śpiew grozy znajdziemy dziesięć pokoju i miłości. A nawet te najsurowsze śpiewy, najmocniejsze, nie mają w sobie nic coby przerażało, niepokoiło albo raniło. Nie wzburza duszy, ani rozdziela, tylko koi i jednoczy. Religijny, chrześcijański przez tyle cech, tyle piękności — ta może właśnie jest cechą najwyższą, świętą pomiędzy wszystkiemi, która nie myli o jego istocie, o jego pochodzeniu Boskiem: Śpiew gregorjański daje nam pokój — zachowuje w nas i odnawia ten dar najcenniejszy, który nam Zbawiciel zostawił". *)

I musimy pamiętać, że śpiew ten ma tylko jeden cel — modlitwę, to znaczy wyraża nasz stosunek duszy do Boga. Nietylko nigdy nie idzie przeciw Bogu, ale nawet nigdy nie jest Mu obcy, nigdy się od myśli o Bogu nie oddala, ani może się bez niej obejść. Wszelkie namiętności i uczucia tylko ludzkie są mu obce. Nie służy dwum panom, nic nieczystego go nie mąci. Żeby się w ten śpiew wczuć i zrozumieć trzeba w sobie wyrobić usposobienie modlitewne, żeby móc uważać za swoje zdanie napisane na wstępie do „Roku Liturgicznego". Dom Guéranger'a: „Modlitwa jest najpierwszem z dóbr dla człowieka".

I jeszcze wzorem jednej wielkiej cnoty jest śpiew gregorjański, a tą cnotą jest pokora. Pokora w wykonaniu, bo nikt się tam na pierwszy plan nie wybija, nikt się nie „produkuje". Śpiewacy gregorjańscy śpiewają tak, żeby wzrok i uwaga wszystkich skierowane były nie na chór, ale ku Ołtarzowi. I także może jeszcze większa pokora wyrażająca się w tem, że cały ten wspaniały śpiew, te tysiące melodyj, są przeważnie anonimowe. Tak jak nie znamy twórców katedr gotyckich, tak nie znamy, w większej części twórców śpiewów gregorjańskich. Bo nie dla własnej chwały tam tworzono, ale na chwałę Boga. I tak jedno jak i drugie jest wyrazem gorącego ducha zbiorowego.

*) C. Bellaigue id. str. 81.
**) Id.

*) Id. str. 94.

*) Id. str. 103.

PAWEŁ ŁEBCZ

IDEALIZACJA i REALIZACJA

Zagadnienie bezrobocia jest dla nas zagadnieniem abstrakcyjnem. Czytamy statystyki: 30.000.000 bezrobotnych na świecie, półtora miljona zmarło z głodu i t. p.—mówimy: „to straszne“, „tego nie można tolerować“, „coś musi się stać“— i na tem koniec. Bo właściwie ta cyfra nic nam nie mówi, nie jest konkretem, któryby poruszył nasze sumienie. Kto widział osiedla bezrobotnych, taki np. Meksyk gdyński, kto mówił z nimi twarzą w twarz, temu owe trzydzieści miljonów rzekną więcej.

Trzydzieści miljonów! — tyleż powie, co ludność Polski. Ale kto tam wie **konkretnie** ile wynosi ludność Polski, ile to gąb, rąk, brzuchów, karków do okrycia, nóg do obucia; ile w tem jest rozpaczy i niedoli, ile buntu i rezygnacji. Nie, nie wiemy tego, nie mamy o tem żadnego pojęcia. A wiedzieć trzeba! Trzeba reportaży, opisów, powieści, trzeba wycieczek i transmisyj radjowych, trzeba tygodników filmowych, trzeba mięsa i żył, by pokryć suchy kościec statystyki. Musimy o tem wiedzieć obrazowo, konkretnie, kłująco! Trzydzieści miljonów.

Z tem abstrakcyjnem zagadnieniem abstrakcyjnie się załatwiamy. Rzeczywistość jest zła, idealizujemy więc ją magicznemi formułkami, jakby te mogły zło uleczyć. Powiadamy: „społeczno-gospodarczy ustrój współczesny degeneruje się coraz bardziej“; „trzeba go oprzeć na sprawiedliwości, na miłości bliźniego, na nakazach etyki chrześcijańskiej“; piszemy i czytamy artykuły, urządzamy dyskusje, gadamy, zdaje się nam, że robimy coś, co zło naprawi. **Idealizujemy** rzeczywistość, a 30 miljonów bezrobotnych na świecie po staremu mrze z głodu. W najbardziej jaskrawej **rzeczywistości.**

Nie znaczy to jednak, by podobna idealizacja, podobna gadanina i pisanina nie miała żadnej wartości. Odwrotnie — wartość posiada dużą. Bez niej wszelkie próby reformy, wszelkie odejście od *status quo,* wszelkie zmiany napotkałyby zdecydowany opór konserwatywnego poglądu na świat. Platon powiadał, że niewolnictwo musi istnieć i nic na to poradzić nie można — taki jest już porządek świata. Otóż z tym właśnie martwym porządkiem, z rutyną tam, gdzie rutyny być nie może, ze skostnieniem poglądów trzeba walczyć, bez tego bowiem nie da się zła usunąć, a dobra tworzyć. I to jest pozytywna wartość idealizacji.

Ale tu kryje się poważne niebezpieczeństwo. Jeśli bowiem myślimy, że gadaniem, czytaniem, pisaniem zmienimy świat, to się grubo mylimy. I jeśli myślimy, że takiem życiem ideacyjnem całkowicie wypełniamy swój obowiązek społeczny, to się również mylimy. W dodatku nasze przygotowanie psychiczne zostanie zawsze zużytkowane przez bandę zbirów bez skupułu. Pamiętam, jak w czasie wybuchu rewolucji rosyjskiej 1917-go roku ludzie w Rosji, nie należący do proletarjatu, płakali z radości, jak polskie kolonje uciekinierów wojennych nie mogły opanować szczęścia, marząc o końcu przemocy i t. d.; tymczasem wiemy jakiemi tory posunął się ruch rewolucyjny. Toż samo było przed wielką rewolucją francuską, gdy arystokracja i bogate mieszczaństwo francuskie idealizowało rzeczywistość i wyidealizowało ostrze gilotyny, pod które musiało złożyć swe głowy. Więc dla nas, którzy nigdy nie potrafimy przelicytować się w demagogji, których zawsze przekrzyczą na rynkach i zaułkach, dla nas droga rewolucji zawsze będzie prawie że zamknięta.

A jednak sama idealizacja nie wystarczy. Nasze twierdzenia o sprawiedliwym ustroju, o dostarczeniu każdemu możności normalnego rozwoju fizycznego i duchowego musimy realizować. Miarą naszej wartości będzie właśnie niepoprzestanie na idealizacji, lecz przejście do czynu. I tu natrafimy odrazu na poważne trudności. Od biedy jeszcze wiemy, co robić, by indywidualnie **pomagać** bliźniemu, choć zdaje się nam nieraz, że cóż nasza kropla w morzu nędzy; wiemy jednak, że kropla wiele znaczy. W jaki jednak sposób możemy **realizować** nowy ustrój. Ba! mała rzecz — „możebyśmy panie kolego, od jutra zabrali się do przebudowy Polski. Ale jak?“

I tu się okazuje, że nasza idealizacja polega na ogólnikowych formułkach, że właściwie dała niewiele pod względem myślowym. Że niewiele wiemy. Przyzwyczailiśmy się do tego, że praca nad zmianą ustroju społecznego i gospodarczego musi iść koniecznie bądź zgóry t. zn. przez rząd, bądź zdołu t. zn. przez rewolucję. Ale i jedno i drugie jest mało realne, a drugie w dodatku grubo niebezpieczne nietylko dla własnej skóry, lecz i dla samej idei sprawiedliwości: zawsze bowiem znajdą się spryciarze, którzy nas będą przelicytowywali. Czy jednak niema innych metod przemiany poza temi dwoma? Czy niesposób jest tak zorganizować społeczeństwo (przedewszystkiem gospodarczo), (oczywiście nie całą ludność Polski, ale jej część, choćby dość drobną), by cząstka ta poczęła odegrywać pewną rolę przebudowującą. Wiem, iż usłyszę w odpowiedzi, że czasu niema, że grunt się pali pod nogami, że zanim zdołamy coś zrobić, zginiemy w ogniu. Więc niby co? Deklamować o przebudowie ustroju i czekać trzęsienia ziemi? Czy na drobnych odcinkach, na tych odcinkach, których nie pochłonął jeszcze wielki kapitalizm, próbować realizować nasze idealizacje społeczno-ustrojowe? Przykładowo: tkactwo fabryczne jest anektowane; ale są chałupnicy, są kołowrotki wileńszczyzny — olbrzymi teren do pracy.

W poszukiwaniu owego nowego ustroju używamy ogólników; sami zdajemy sobie sprawę, jak dalecy jesteśmy od jego realizowania; przestajemy wierzyć we własne deklamacje. Oglądamy się na Moskwę, na Rzym czy Berlin — i sami dobrze nie wiemy, czego chcieć mamy i do czego dążyć.

Musimy dokładnie przemyśleć możliwości małych realizacyj — przed Wielką Realizacją, małych reform — przed Wielką Reformą. Przed ogólnem zniesieniem w Polsce pańszczyzny szereg dworów robił to na własną rękę. Realizował ideały społeczne we własnym zakresie, nie mogąc zrealizować w całym kraju. Ale to był żywy przykład, który nie pozwalał społeczeństwu o pańszczyźnie zapominać. Wtedy jednak ludzie wiedzieli co i jak mają robić. Dziś tego nie wiemy; dziś marzymy o wielkich zmianach ustrojowych i cóż? — Nic!

Zagadnienie wymaga przemyślenia. Wymaga badań rzeczowych. Wymaga wypowiedzeń się zarówno teoretyków, jak i faktycznych pracowników na niwie społeczno-gospodarczej. Gdyż, jak się zdaje, nie przez barykady i krew prowadzi droga do prawdziwie sprawiedliwego ustroju. Znaleść ją — oto zadanie młodego pokolenia katolików, zadanie, przed którem dotąd uchylaliśmy się.

POD LUPĄ

Gdy ulicami miast maszerują długie kolumny wojska z ostatnim przebojem rewjowym, śpiewanym w twardy takt żołnierskiego kroku, budzą sią refleksje na temat przyszłości wsi polskiej. Wieś wypiera się dziś swych strojów na rzecz mieszczańskiej marynarki i kapelusza; wstydzi się swych „prostych“ tańców, przyjmując tanga i foxy.

Warszawski kabaret wkrada się w życie pieśni.

Uczy o nim miasto, miasteczko, inteligencja, służba wojskowa. W tym roku mamy w radjo cykl „Cała Polska śpiewa“.

Jak będzie taki cykl wyglądał za lat dziesięć?

Ach, warg purpury twoich spijam szał,
i tylko my, i tylko ty, i będę ciebie miał.

Podnosimy jakoby kulturę szerokich mas ludowych. Po chałupach i zapłotkach tęskni tango i ostry takt wybija fox.

Cała Polska śpiewa ostatnie przeboje.

Kultura, kultura.

* * *

WIADOMOŚCI LITERACKIE wydały w jesieni 1933 r. numer poświęcony kulturze sowieckiej. Pisali bolszewicy z K. Radkiem na czele. Jako rewanż LITIERATURNAJA GAZIETA, organ związku pisarzy sowieckich, wydała specjalny numer poświęcony kulturze polskiej z artykułami Goetla, Kaden-Bandrowskiego, Skiwskiego, Parandowskiego i in. Nagle cała ta kompanja dowiaduje się, że ten numer LITIERATURNOJ GAZIETY został wydany tylko ze względów kurtuazyjnych, że czytelnicy w Sowietach wcale go nie dostali. Goetel lament rozpoczął, inni zaczęli wtórować. I poco? — czy nie wiecie, Panowie, z kim macie do czynienia? Trzeba było nie zaczynać.

HALINA WĘŻYK-WIDAWSKA

ZIEMIA NIEZNANA

Kościół Katolicki — oto niezawodnie zagadnienie dnia dzisiejszego. Przeżywamy chwilę co najmniej pod tym względem ciekawą: ogromny za czas ostatniego pięćdziesięciolecia wzrost autorytetu Rzymu, a na nizinach młode, do odrodzenia społeczeństw dążące ruchy katolickie, nieskoordynowane jeszcze, nieporadne, często niemal śmieszne, lecz kto wie, jaki wpływ mają już dziś, a jakie zdobędą jutro! To jedna strona. Z drugiej — świat akatolicki, świat wielu sekt i wyznań coraz częściej wpatrujący się w ruch łodzi Piotrowej.

Nietylko się obserwuje, ulega sugestywnej mocy jej Gwiazdy, będącej jej kompasem: ruch konwersyjny w Anglji, gdzie całe klasztory i konwenty anglikańskie przechodzą na katolicyzm, nawrócenia tak nieraz rozgłoszone i coraz to nowe we Francji, zainteresowanie liturgją katolicką w Niemczech, a w związku z tem wędrówki ludności akatolickiej do Benedyktynów w Maria Laach i Beurou, protestancki ruch religijny t. zw. „hochkirchliche Bewegung“, zbliżający się coraz bardziej do kościoła katolickiego. Dowodem zainteresowania katolicyzmem również w świecie pojęć jest powiedzenie przywódcy protestanckich historyków, Harnacka, które niestety można zastosować do naszej katolickiej szkoły w Polsce:

„Młodzież po ukończeniu gimnazjum niewątpliwie wie to i owo z historji kościelnej, choć, jak nieraz się przekonałem, te wiadomości są przeważnie nader luźne i powierzchowne. Niektórzy uczniowie znają nawet systemy gnostyczne i przeróżne dziwaczne szczegóły bez wartości, o kościele natomiast katolickim najmniejszego nie mają pojęcia i wyobrażają go sobie w sposób najzupełniej niedostateczny, niejasny, a często wręcz niedorzeczny. Jak powstały największe instytucje tego kościoła, jakie mają znaczenie w jego życiu, jak łatwo można o nich nabrać fałszywych pojęć, dlaczego spełniają swoje funkcje z taką precyzją i tak skutecznie, to wszystko według mojej praktyki profesorskiej z małemi wyjątkami, dla tej młodzieży „terra incognita“ (Aus Wissenschaft und Leben I, st. 96).

„Kościół budzi się w duszy inowierców — fakt nie do zaprzeczenia. Fakt, którego nie może pominąć historyk kultury.

Bardzo ciekawą analizę tego zjawiska spotykamy w pracy **prof. Adama** pt. **„Istota Katolicyzmu“**. Autor jej widzi dwie przyczyny, które złożyły się na przebudzenie umysłów i zrozumienie ideału katolickiego w duszy zachodniego człowieka.

Pierwsza to przeżycie grozy wojny, której w oczy spojrzeliśmy wszyscy, wyczytując w niej prawo zagłady dla wszystkich zdawałoby się niezwyciężonych potęg ludzkich.

Dla potwierdzenia przypomnijmy wojenne i powojenne zainteresowanie sprawami duchowemi wśród sfer, które do niedawna wyznawały tylko materję, renesans zagadnień religijnych i tak typowe dla naszej doby, a tak świetnie przez język rosyjski oddane „Bogoiskatielstwo“. **Z straszliwego przerażenia,** mówi prof. Adam, **zrodził się podziw dla kościoła, dla jego niezniszczalności** i bujnej siły życiowej. On jeden przecież został nietknięty na tle rumowisk.

My dzisiaj na własne oczy oglądamy i własnemi rękoma dotykamy się prawdy, którą wielki historyk angielski napisał o tej niezmożonej i niezniszczalnej sile żywotnej kościoła.

„Niema i nie było nigdy na tym świecie drugiego dzieła ludzkiej mądrości państwowej, któreby w tym stopniu zasługiwało na badanie nasze, jak kościół Rzymsko-Katolicki. W dziejach tego kościoła podają sobie ręce dwa wielkie okresy cywilizacji ogólno-ludzkiej. I niema już żadnej innej instytucji, któraby nas myślami przenosiła w owe czasy, które patrzyły na dym ofiar składanych w Panteonie i na tygrysy i kamelopardy, walczące z sobą w amfiteatrze Wespazjana. W porównaniu z linją genealogiczną papieży najdumniejsze rody cesarskie zdają się być dopiero od wczoraj. Linję tę w nieprzerwanym biegu można śledzić od papieża, który w XIX wieku koronował Napoleona, aż do tego, który w wieku VII namaszczał Pepina na króla. Najstarszem obok papieży państwem co do wieku była republika niemiecka, ale i ona w porównaniu z Rzymem okazuje się czemś nowoczesnem; ona przepadła, a papiestwo trwa dotąd. A papiestwo istnieje i to nie w stanie upadku, nie jako jakiś zabytek starożytny, lecz w pełni życia i siły młodzieńczej. Dzisiaj jeszcze kościół wysyła misjonarzy do najdalszych zakątków świata, a ci misjonarze pałają taką samą gorliwością, jak tamci, którzy pod wodzą Augustyna wylądowali w Kent; i dziś też jeszcze papieże wrogim władcom stawiają tak samo czoło jak niegdyś Leon I odważnie stanął naprzeciw Attyli. I wcale nie widać oznak któreby wskazywały, że się zbliża koniec długiego panowania tego kościoła. Kościół ten patrzał na początki wszystkich rządów i wszystkich kościołów, jakie obecnie istnieją na świecie, a nie chcielibyśmy wcale zapewniać, że się nie doczeka końca ich wszystkich. Kościół ten był wielki i poważany zanim Sasi stanęli na ziemi angielskiej, zanim Frankowie przekroczyli Ren, kiedy w Antjochji kwitnęła jeszcze wymowa grecka i w świątyni Mekki kłaniano się bałwanom. I Kościół ten w niezmożonej sile prawdopodobnie trwać będzie jeszcze i wtedy, kiedy w przyszłości jakiś podróżnik Nowej Zelandji wśród niezmierzonego pustkowia stanie na resztkach filaru londyńskiego mostu, aby zdjąć szkic ruin kościoła św. Pawła“.

Przytoczyliśmy za prof. Adamem tę długą apologję kościoła napisaną przez Maculay'a. Jest piękna i dobrze odpowiada wzbierającemu w nas uczuciu wtedy, gdy o naszym kościele myślimy. Jest słusznem zadośćuczynieniem za wszystkie wypowiedziane i wypowiadane w tej dziedzinie niedorzeczności wypływające z ignorancji, lub złej woli. Jest naszą tezą, po której musi przyjść pytanie, przez prof. Adama sformułowane.

„Skąd pochodzi to bujne życie kościoła i czy kościół może, lub czy zechce to życie tchnąć w umierający świat zachodni? **A czy to uczyni“?**

Człowiek dzisiejszy nietylko o to pyta, za wszelką cenę chce on odpowiedzi pozytywnej. Jest bankrutem, który szuka ratunku. I to jest druga przyczyna więcej niż zainteresowania kościołem rzymskim. Człowiek niezależny, oparty tylko na sobie, pretendent do rządów nad światem i wszechświatem czuje się dzisiaj wyrwany z korzeniami z podstaw bytu, samotnym i rozbitym wewnętrznie. Przez całe wieki walczył: najprzód z autorytetem kościoła (w. XVI) potem z boskością Chrystusa (oświecenie) aż przyjść musiało w wieku XIX do tragicznego „Precz z Bogiem“, tragicznego bo zaraz potem przyszło stwierdzenie jadu negacji. Życie straciło swój sens. Ustało wewnętrzne napięcie, zniknął Eros, w którym jest obfitość sił, przenikających wszystko a którego zapalić zdołają jedynie moce boskie.

Jednocześnie zerwał się drugi węzeł: łączący człowieka ze społeczeństwem. Wyjście z kościoła, z commune fidelium i gorzka strawa samotności, prawdziwej, wewnętrznej, metafizycznej. Kantyzm wynosząc podniósł do godności prawodawcy świata przedmiotowego i własnej świadomości eksperymentalnej, dokonał reszty. „Człowiek autonomiczny, od Boga oddzielony, samotny od jedności z braćmi oderwany, teraz został oddzielony nawet od swej empirycznej łaźni, stał się człowiekiem „jak gdyby“ i wskutek tego człowiekiem niepłodnym, nadgryzionym od ducha „krytyki“ człowiekiem, który nie rozumiał rzeczywistości, człowiekiem, znającym się tylko na sztuce przeliczenia“ (str. 19). W tych słowach ostatnich prof. Adam zamyka świetnie rzeczywistość wewnętrzną dzisiejszego człowieka tak, jak ona przejawia się w naszem życiu codziennem, literaturze, sztuce i nauce, zrywa maskę z nas samych, okazuje źródło kłamstwa dnia dzisiejszego, straszliwych przeciwieństw między tem, co się mówi i pisze, o mocy człowieka i pełni jego życia, a tem co czujemy, lub co jest jako to, „o czem się nie myśli“, nie chce się nawet myśleć.

Lecz myśleć się musi choćby dla tego, że miłość życia jest silniejsza, niż teorje, teoryjki bezpłodnego mózgu. Człowiek odczuwa bezpłodność negacji, chce czegoś, na czem możnaby się było oprzeć, chce jakiejś „wody żywej“, chce czynu naprawdę twórczego. I stąd zwrot do kościoła i przeświadczenie, że w jego tezach, jego dogmatach, jego zasadach, których nie naruszył żaden szturm piekielny, czy burza dziejowa, leży prawda, pozytywna prawda, która jest mocą i którą wyzwoli. Cała praca prof. Adama zmierza do tego, by wykazać, że katolicyzm w istocie swej jest postawą zasadniczą i afirmacją wszystkich wartości. **„Dzieje katolicyzmu to dzieje bezwzględnego, nieubłaganego w swej konsekwencji i wszechstronnego afirmowania całej i pełnej rzeczywistości objawienia,** pełni Ducha Bożego, który się w Chrystusie przejawił podług wszystkich wymiarów jego rozwoju. Katolicyzm to **bezwzględne, bezwarunkowe i wszechstronne afirmowania całego, pełnego życia ludzkiego,** całości jego stosunków życiowych i źródeł życia“.

Jest to więc przedewszystkiem afirmacja najgłębszej podstawy naszego bytu, Boga, którego wręcz zaprzeczano. Jest to afirmacja Boga całkowitego, który nie jest tylko dobrotliwym ojcem dzieci i grzeszników, czy Bogiem deistów, Bogiem bojącym się cudów. Bóg katolicyzmu to „Bóg całkowity, Bóg mocy twórczej i Bóg sądu ostatecznego“, którego istnienie otwiera przed człowiekiem zupełnie nową rzeczywistość. Jest to wreszcie afirmacja Chrystusa i to Chrystusa całkowitego: Boga człowieka, wbrew tym, co go na miarę własną czynili podobnym sobie, poz-

bawiając go tytułu Synostwa Bożego, lub tym co znów zapominali, że słowo ciałem się stało.

Wydaje mi się, że pożądanie tych tez tylokrotnie odrzuconych jest jakby racją psychologiczną, która daje również świadectwo prawdzie. Lecz katolicyzm to nietylko afirmacja rzeczywistości, powiedzmy teologicznej. „Również i **ludzkość musi w katolicyzmie być cała,** żebyśmy w niej mogli tego Chrystusa odnaleść. Społeczność jest pierwszą podstawą, w której jedynie mogą wyrastać wszystkie indywidualności. **I znowu indywidualność** w katolicyzmie **musi być cała,** nietylko pobożna nauka, lecz także rozum, który na zimno układa w system, ale nietylko rozum, ale i wola czynna i nietylko człowiek wewnętrzny, duchowy, lecz i zewnętrzny, zmysłowy".

Warto się nad tem zatrzymać. Do dziś dnia opowiada się bowiem nieprawdopodobne brednie o poglądzie kościoła na życie fizyczne człowieka i kulturę materjalną. Trudno tu dowodzić, że kościół ma pełne zrozumienie pierwiastków naturalnych, wrodzonych człowiekowi. Wystarczy jednak powołać się na całą historję walk kościoła z gnostykami, manichejczykami, albigensami, bogomiłami i t. d., aby się przekonać, że kościół zawsze stał na straży prawa i godności ciała ludzkiego. Z tej postawy wypływał jego pogląd na małżeństwo i wypowiedzi w sprawie materjalnych potrzeb człowieka (św. Tomasz, ostatnio encykliki Leona XIII). Należałoby przypomnieć również rewelacyjny dla nas pogląd tomistów na tak zw. kulturę humanistyczną, aby zrozumieć, jak daleko stoi ideał prawdziwie chrześcijański — ewangeliczny od różnych Tołstojowskich mrzonek. „Bo katolicyzm co do swej istoty jest **pełnem mocnem przyznaniem się do całego człowieka,** do człowieka pełni, we wszystkich jego relacjach życiowych. Katolicyzm to poprostu **religja pozytywna par excellence,** to istotna afirmacja, **bez skreśleń** i w pełnym sensie, to istotnie teza" (str. 20).

Bo katolicyzm, dodajmy, jest jedyną doktryną, która może zamknąć w sobie całą rozmaitą rzeczywistość i pogodzić w sobie wszystkie pozorne sprzeczności.

* * *

Takie oto są rozważania w związku z pracą prof. Adama. „Istota katolicyzmu" to jedna z najlepszych książek popularnych (przez laika dla laików) o kościele, znakomity wykład o istocie katolicyzmu, o źródłach, z których kościół czerpie, o podstawowych myślach dogmatycznych, które są myślami przewodniemi jego wiary, ustroju i liturgji. „Te podstawowe myśli nadają katolicyzmowi właściwe znamię i pozwalają go zrozumieć także tam, gdzie on promieniuje w dziedziny ludzkiej kultury". I dlatego właśnie chciałoby się zachęcić do przeczytania tej pięknej książki właśnie u nas, którzyśmy istoty „Catholica" nie zgłębili, czego dowodem nasze dyskusje na temat kościoła, przybierające nieraz zgoła groteskowe formy.

„Istota katolicyzmu" ma za zadanie wprowadzić **do kościoła tej ziemi nieznanej** tych, którzy w niej nie mieszkali od młodości nie kąpali się w jej słońcu i nie karmili jej chlebem".

To właśnie ten wzgląd na czytelnika, a raczej słuchacza, gdyż książka jest przedrukiem szeregu odczytów. Znajomość duszy słuchacza ze wszystkiemi jego współczesnemi trudnościami i powikłaniami czyni tę książkę specjalnie nam bliską. To mówi jeden z nas.

Ale mówi też ktoś, kto ziemię nieznaną już posiadł, kto ją kocha i żyje jej pięknem i bogactwem, dla kogo ta książka jest mocnem wyznaniem. **Credo in unam, sanctam, catholicam et apostolicam Ecclesiam.** To ma swą wartość zwłaszcza dziś, gdy poglądami naszemi, zwłaszcza naszym stosunkiem do kościoła, tak często rządzi opurtunizm.

JERZY CIECHOCKI

ZBRODNIA NA LĄDZIE AFRYKAŃSKIM

We Włoszech grają surmy bojowe, w Abisynji monotonnie huczą afrykańskie bębny. Wojna w powietrzu. Być może w chwili, gdy czytelnik będzie te słowa czytał, włoskie oddziały będą się przedzierały przez strome wąwązy Etjopji. Chodzi o podbój, o gwałt, o rozbiór, o aneksję. Chodzi o zagrabienie kraju, który ma przynieść zdobywcom skarby, potęgę, mocarstwową pozycję. Chodzi o zwykłą grabież — do wianuszka europejskich barbarzyństw dochodzi jeszcze jeden segment.

* * *

We Włoszech szeptano o tej wojnie już od paru lat; opowiadano sobie na ucho, że Włochy do wojny się przygotowują. Od roku stało się to wyraźne. Papież w ciągu tego roku kilkakroć mówił o pokoju; mówiąc o tych, którzy dbając o pokój, zbroją się poto, by wprowadzić wojnę, oświadczał, że w stosunku do nich ma tylko słowa modlitwy:

Dissipa gentes, quae bella volunt — rozprosz narody, które pragną wojny.

Werset ten wracał w mowach papieskich kilkakrotnie, jakby dla zwrócenia nań specjalnej uwagi. Wymowa tego wersetu staje się jasna i wyraźna, gdy zajrzy się dalej do tekstu. W tym samym bowiem wersecie czytamy dalsze zdanie:

*Etjopja *) niech powstrzyma rękę ich przed Panem.*

Tak wyglądał rok ubiegły.

*) Etjopja — oficjalny tytuł Abisynji.

* * *

Wojna stawała się coraz wyraźniejsza. Mussolini starał się znaleść moralne upozorowanie wyprawy abisyńskiej. Wytaczał dwa najważniejsze argumenty:

1o. Włochom ciasno jest w domu, potrzebują dla siebie nowych terenów, których Abisynja może dostarczyć.

2o. Trzeba bronić interesów Włoch w Afryce, które są przez Abisynję zagrożone *).

Niepokój katolików całego świata rósł coraz bardziej; zdawano sobie sprawę, że wojna włosko-abisyńska jest wojną niesłuszną. Rósł niepokój, czy względy uboczne nie powstrzymały Watykanu od jasnego wypowiedzenia się w sprawie tak drażliwej.

Tymczasem przyszła mowa papieska, wypowiedziana przy okazji, przy której zupełnie jej nie oczekiwano; okazją tą była audjencja u Ojca Świętego pielęgniarek katolickich. Po wstępnej przemowie, po błogosławieństwie papież zupełnie nieoczekiwanie zaczął mówić dalej. Tekst tego przemówienia rozszedł się błyskawicznie po całym świecie, gazety włoskie podały go w formie zniekształconej.**) Papież tak mówił;***).

„...*Pragniemy pokoju i błagamy Boga, by nas ochronił przed wojną. Sama myśl o wojnie nas przeraża; przeraża nas nawet wówczas, gdy myślimy o niej samej, nic nie dodając do jej okropności, jeżeli wogóle do tych okropności coś dodać można.*

Widzimy już, że zagranicą mówi się o wojnie zdobywczej, o wojnie ofenzywnej: na takiej ewentualności nie chcemy nawet zatrzymywać myśli, tak nas ona niepokoi. Wojna, któraby była tylko wojną zdowywczą, byłaby niewątpliwie wojną niesłuszną, byłaby rzeczą przechodzącą nasze wyobrażenie, byłaby czemś niewypowiedzianie smutnem i przerażającem. Nie możemy nawet myśleć o wojnie niesłusznej. Nie możemy nawet brać pod uwagę jej możliwości i rozmyślnie wykluczamy tę możliwość. Nie wierzymy, n'e chcemy wierzyć w wojnę niesłuszną.

*Z drugiej strony we Włoszech się mówi, że chodziłoby o wojnę sprawiedliwą dlatego, że wojna obronna prowadzona dla zabezpieczenia granic od ciągłych i nieustannych niebezpieczeństw, wojna konieczna dla ekspansji stale wzrastającej ludności, wojna zaczęta dla obrony lub zapewnienia bezpieczeństwa materjalnego danego kraju — taka wojna sama przez się byłaby usprawiedliwioa. *)*

A jednak jest prawdą, drogie córki, — jest prawdą i nie możemy powstrzymywać się od myślenia o tem, że jeżeli może istnieć potrzeba ekspansji, że jeżeli istnieje potrzeba zapewnienia spokoju granic w drodze obrony, to jednak musimy pragnąć, by rozwiązano te trudności na innej drodze, niż wojna. Jak? Niełatwo to oczywiście powiedzieć, ale wierzymy, że nie jest to niemożliwe. Jedno tylko wydaje się nam niewątpliwe, to mianowicie, że chociaż potrzeba ekspansji jest faktem, z którym się liczyć należy, to jednak prawo do obrony jest ograniczone i tych granic przestrzegać trzeba, aby obrona nie była występna".

Czyż można czekać wyraźniejszych słów?

* * *

Pełnomocnik Abisynji tak ostatnio mówi w Lidze Narodów:

„*Panowie uprzytomniacie sobie najwyższe śmiertelne niebezpieczeństwo, jakie grozi jednemu z członków Ligi, a być może zagraża również pokojowi światowemu. Abisynja odwołuje się do sumienia ludzkości, którem jest Liga. Abisynja żąda, aby państwo, należące do Ligi, którego byt i niepodległość zostały zagrożone, nie pozostało bez poparcia. Nie odmówcie pomocy Abisynji, ponieważ jest ona słaba, a jej napastnik potężny. Oby nie zostało zapisane w historji, że narody bądź steroryzowane, bądź winne w spólnictwie, bądź wreszcie nieubłagane w swoim egoizmie, porzuciły mały naród, zagrożony w swej egzystencji*".

Jest to apel do sumienia ludzkości. Czy jednak ludzkość ma jeszcze sumienie? Dni najbliższe pokażą.

*) Prócz tego Włosi stale wysuwają demagogiczny argument, że w Abisynji dotąd istnieje niewolnictwo, a wyprawę podejmują oni dla celów humanitarnych. Tak, jakby nie było innych środków do walki z niewolnictwem, jak aneksja (i eksploatacja) wolnego kraju.

**) Dziwimy się, że podała ją w tak fatalnie niejasnej i niecharakterystycznej redakcji P. A. T-iczna. Z tych kilku słów, któreśmy w prasie polskiej czytali, nie można całkiem wywnioskować, jakie papież stanowisko w sporze włosko-abisyńskim zajmuje.

***) Cytujemy wedle OSSERVATORE ROMANO — oficjalnego organu watykańskiego.

*) Patrz wyżej — argumenty Mussoliniego

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Wydawnictwo Księży Jezuitów, Kraków, Kopernika 26.

Ks. Prof. Dr. **Józef Kaczmarczyk.** *Charakter Chrystusa.* Str. 180 in 8' Cena egz. br. 1.80 opr. 3.00.

Emil Fiedler. *Dobry Bóg.* Str. 144. Cena egz. br. 1.20

Adolf Kliszewicz. *Ku czemu zmierza dzisiejszy świat.* Str. 216 in 8' Cena egz. br. 3.00

Ks. Prof. Dr. **Tihamer Tóth.** *Chrystus i Młodzieniec.* Str. 434. Cena egz. br. 2.70 opr. 4.40

Zofja Ułaszynówna. *O salutaris!* Str. 250. Cena egz. br. 2.

O. **Hardy Schilgen.** T. J. *Na usługach Stwórcy.* Str. 136. Cena egz. br. 0.90 opr. 1.80

Dziesięciodniowe rekolekcje dla osób zakonnych. Str. 332. Cena egz. br. 2.40 opr. 4.00

Jón Svensson. T. J. *Czółnem przez morze.* Str. 184. Cena br. 1.50. opr. 2.05

ANTONI GOŁUBIEW

8)

Mędrcy na arenie

Walka o puhar

Był piękny dzień i słońce zdawało się być rozpaloną patelnią, gdy duże czerwone afisze oznajmiły miastu o zawodach piłki nożnej. O wyznaczonej godzinie nieprzerwany wąż widzów ciągnął na boisko, zapełniając trybuny i przepychając się na lepsze miejsca. Mali chłopcy tęsknie krążyli dokoła wysokiego parkanu, otaczającego boisko, wycinali w nim dziurki, by chociaż pół okiem być w raju. Z chłopcami tymi prowadziła zaciekłe boje policja, broniąc porządku publicznego...—ale o tem trzebaby ułożyć specjalną epopeję.

Lecz nie nazwiska najsłynniejszych zawodników krajowych, nie mistrzowska drużyna przybyłych gości, nie piękna pogoda i doskonała organizacja meczu — nie te wszystkie wspaniałości ściągnęły tak ogromny tłum widzów. Wszyscy przyszli tu jedynie dla obejrzenia subtelnego profilu i szlachetnego wyrazu en face pana Kłapoucha. Sprytni bowiem organizatorowie tego święta sportowego w lot zrozumieli, że obecność mędrca zapewni im pełną kasę: uprosili go przeto, aby był łaskaw wręczyć puhar zwycięstwa lepszej drużynie.

I oto widzicie pana Kłapoucha w osobnej loży, wydźwigniętej ponad poziom trybun, oblanego zewsząd śmietanką społeczeństwa z panem dyrektorem na czele. Pan Kłapouch, skłoniwszy melancholijnie głowę nabok, nieruchomo patrzył przed siebie.

Widział arenę, na której wnet miała rozegrać się walka. Arena była bardzo piękna, porosła zieloną trawką, z ostro zarysowanemi białemi granicami i kołem pośrodku. Na jej widok pan Kłapouch cicho westchnął, — kolor zielony był, jak wiadomo, najmilszym kolorem jego duszy.

—Pozwól, przyjacielu-mędrcze,—zaszemrał głos dyrektora — pozwól, że przedstawię ci sławę naszego kraju, najznakomitszego teoretyka szlachetnego sportu, jakim jest bezwątpienia piłka nożna.

Pan Kłapouch odwrócił zlekka głowę i ujrzał kolegę-mędrca. Kolega-mędrzec był już starawy: miał twarz pomarszczoną, łysinę dużą jak słońce, parę rogowych okularów amerykańskich, wreszcie siwą brodę, spadającą mu do pasa. Ubrany był w strój sportowy: krótkie fioletowe spodenki i trykocik z oznaką klubu. Podchodząc do Kłapoucha, usiłował napiąć mięśnie, by wyglądać dostojnie. Mięśnie odmówiły mu jednak posłuszeństwa. Wysiłek ten był tak duży, że biedaczek zmęczył się i zaczął złowieszczo kłapać szczęką.

— Bardzo mi jest miło — mówił — pana poznać (kłap, kłap, kłap!) Pan ma tak dorodną postać, jest pan taki wysportowany. A sport, panie, to ambrozja, ambrozja zalana nektarem. Nasi wielcy bogowie, użyczający nam hojnie zdrowia i siły (kłap, kłap, kłap!), nasi bogowie z Olimpu — Jowisz, Mars i Hermes, tak jest: i Hermes, wiedzieli, co robili, gdy organizowali pierwsze olimpjady. Są one sprawdzianem naszej siły, egzaminem naszych mięśni i serc.

Tu starszy pan usiłował podskoczyć—kłap, kłap. kłap!

—Bo cóż jest wart mózg człowieka — ciągnął dalej — w porównaniu naprzykład z bicepsem. Mózg jest mojem zdaniem, wogóle człowiekowi niepotrzebny. Człowiek jest bardzo głupio urządzony, gdyby tak zamiast mózgu miał wystającą sprężynę, niech pan pomyśli, jakie wspaniałe mógłby robić główki. Stuknął pan z tej strony placu: piłka pstryk! i już jest z tamtej strony w siatce. Ha! toby było dopiero, nieprawdaż — kłap, kłap, kłap!

Pan Kłapouch podniósł rękę, ubraną w białą rękawiczkę, i dotknął z obawą miejsca między uszyma. Na szczęście nie znalazł tam sprężyny.

— Piłka nożna jest królową sportu — ciągnął dalej gadatliwy starszy pan — a ja się na niej znam, jak ja się dobrze na niej znam, kłap, kłap, kłap! Panie, piłka nożna wyrabia wszystkie mięśnie, zwłaszcza prawej nogi, wyrabia dobre oko, pogrubia ludziom czaszki, uczy ich dobrych manier. Dobra drużyna, proszę pana, to cudo. Taką drużyną jest moja drużyna, za chwilę ją pan zobaczy. Po skończonym meczu wręczy pan jej puhar. Nauczyłem ich, kiedy należy grać fair, a kiedy próbować niechcący kopnąć przeciwnika. Bo wiedza moja jest wielka, panie, kłap, kłap, kłap! Wiedza o piłce nożnej jest największa ze wszystkich wiedz. Uczy nas ona rzeczy konkretnych i potrzebnych, nie jest pustą gadaniną i matołectwem, jak naprzykład filozofja.

—O, zapewne zaraz wybiegną zawodnicy — przerwał dyrektor, przestraszony, że dyskusja przybiera zbyt ostre akcenty.

Istotnie od szatni zaczęli biec gracze w żółtozielonych trykotach. Orkiestra, jąkając się, odegrała jakiś obcy hymn państwowy, publiczność przywitała przybyłych wyciem i gwizdaniem. Żółto-zieloni (jajecznica z sałatą) zaczęli zaraz dla fasonu stukać piłką, a tymczasem zabrzmiał hymn narodowy, widzowie zaczęli ryczeć i klaskać — na boisko wbiegli gracze miejscowi. Ich biało-czerwone kostjumy były zupełnie nowe, zapewno świeżo kupione ze specjalnych sybsydjów.

— Tamten oto w białym swetrze—zaczął panu Kłapouchowi tłumaczyć pan Kłap-kłap—to bramkarz. Poznać go można łatwo po odmiennym kostjumie, po spłaszczonym dzięki uderzeniu piłki nosie, po nagolennikach, po tem wreszcie, że stoi w bramce. Tych dwóch to para najlepszych w kraju beków, jakie oni mają nogi, jak umieją kopać...! Jeden z nich jest także profesorem uniwersytetu. Trzech następnych to pomoc...

Lecz dalszym objaśnieniom przeszkodził początek gry. Zawodnicy stanęli na wyznaczonych miejscach i na znak gwizdkiem gra się rozpoczęła. Jajecznica z sałatą wzięła odrazu piłkę i gnała ją pod samą bramkę przeciwnika. Ale jeden z doskonałych beków, ten, co to był także profesorem uniwersytetu, uratował sytuację; odkopnięta, wróciła piłka znowu na środek placu, i tu przez czas jakiś kotłowała się nad nią garstka graczów.

Gra w sposób piękny ciągnęła się dalej. Stukano w piłkę nogami, trykano w nią głowami, które były tak twarde, że nawet kula ziemska odbiłaby się od nich z łatwością— cóż dopiero mówić o elastycznym stworze ze skóry, gumy i powietrza. Gracze przyjezdni byli bezczelni: raz po raz podprowadzali piłkę pod bramkę gospodarzy i strzelali w nią bez ceremonji. Bramkarz ze spłaszczonym nosem zachowywał się jak bohater: skakał do góry, tarzał się po ziemi, rzucał się pod nogi nadbiegających graczy, po każdym zaś takim wyczynie publiczność obdarzała go frenetycznemi oklaskami, a drużyna przeciwna pakowała piłkę w siatkę. Po każdej takiej piłce kolega Kłap-kłap drżał z irytacji.

— Nie rozumiem, co się moim chłopcom stało—krzyczał—nie rozumiem, co za nagły spadek formy. Najlepsza drużyna w kraju i najgorsza drużyna zagranicą. I te patałachy biją naszych bohaterów. Oo, patrz pan, znowu, znowu... znowu dali nam gola.

I biedny teoretyk sportu siadał na podłodze trybuny i płakał gorzko. Bo pomyślcie tylko, najlepsza drużyna w kraju i jakieś tam wybiórki. Przecież to widać, że tamci nie grają fair, że tamci mają szczęście, że mają wiatr i słońce za sobą, że stale biorą spalone piłki, że bramka ich jest mniejsza od naszej. Dlaczego, — powiedzcie no tylko — dlaczego nasze piłki idą zawsze na aut, a ich zawsze do bramki. To jakiś pech, jakiś zdecydowany pech. I ten sędzia...

Prawda — był w czasie tej gry sędzia — taki mały, szary, nikomu niepotrzebny człowieczek. Biegał po całym placu i gwizdał swym małym gwizdkiem. Wiadomo jest ogólnie, że sędzia faworyzuje przeciwników, pewnie podkupiony, pewnie namówiony. Trzeba zrzucić sędziego, koniecznie zdeskredytować sędziego.

Na tę myśl biedny teoretyk sportu zerwał się z podłogi, na której sobie płakał, i, wychyliwszy się za balustradę, krzyknął piskliwym tenorkiem:

— Sę-dzia ka-losz!

Ten zew podchwyciła w lot patrjotyczna publiczność. Niby iskra elektryczna przeleciał przez trybuny zgodny (jakoby Polacy nie są zdolni do jednomyślności!) okrzyk:

— SĘ — DZIA KA — LOSZ!!!

Mały człowieczek z gwizdkiem skulił się jeszcze bardziej i począł biec jeszcze szybciej. W tej chwili środkowy napastnik gospodarzy pchnął przeciwnika w pierś obu rękami (pewno niechcący); sędzia podniósł do ust swój gwizdek, lecz jednocześnie rozległ się znowu gromowy okrzyk, który zagłuszyłby wodogrzmot Niagary:

— SĘ — DZIA KA — LOSZ!!!

Jajecznica z sałatą, oczekując na gwizdek sędziego, przestała grać przez chwilę: ta chwila wystarczyła napastnikom. Brawurowym atakiem (Samo-Sierra! Samo-Sierra!) skoczyli ku bramce, kopnęli piłkę i bramkarza i wiwat! hurra! GOL!!!

Radosny okrzyk i oklaski trybun były nagrodą za ten wyczyn.

Odtąd poszło już łatwo. Żółto-zieloni tarzali się po boisku, zaś biało-czerwoni zdobywali punkty. Sędzia tylko przez wrodzony takt nie poszedł na obiad, lecz dalej biegał po polu. Zwycięstwo wyraźnie chyliło się na stronę gospodarzy.

Napróżno goście się wysilali—nie dochodzili do głosu. Gdy któryś z nich podnosił nogę, by kopnąć piłkę, wnet jeden z gospodarzy kopał go w pośladek. Po przerwie nic się nie zmieniło. Goście skarżyli się, wnosili do człowieczka z gwizdkiem zażalenia—wszystko nanic. Świetnej grze biało-czerwonych nie mogło się nic oprzeć.

Kolega-mędrzec Kłap-kłap-kłap krzyczał z radości po każdem udanem kopnięciu piłki. Podskakiwał na swych gołych, porosłych siwemi włoskami nożynach, klaskał w dłonie i pobudzał zawodników:

— Brawo Ciężarek! Lu go! Po głowie go! Jeszcze raz! Mocniej! Brawo, brawo!—znać moją szkołę, moją krew!

Publiczność zadowolona zupełnie (publiczność zawsze i wszędzie lubiła walki gladjatorów, byków i bokserów) walnie przyczyniła się do zwycięstwa swym krzykiem i swojem gwizdaniem, kolega-mędrzec światłemi radami przed meczem, gracze ofiarną grą... W ten sposób uzyskany dla nas zaszczytny wynik 5 na 4 był dziełem całego narodu. Nawet sędzia... ale lepiej nie opowiadać zbyt dużo o działalności sędziego—świętości nie szargać!

Gdy mecz się skończył, tłumy podążyły pod trybunę pana Kłapoucha, by podziwiać uroczyste przyznanie puharu drużynie zwycięskiej. Koło mędrca stał kolega-mędrzec Kłap-kłap-kłap, śmietanka i dyrektor.

Przybyły też obie drużyny, choć goście byli rozdrażnieni i mieli liczne pretensje do sędziego, publiczności i zespołu, z którym grali. Kapitan ich na właściwą uroczystość nie chciał się nawet zjawić, przyniesiony zaś na rękach stał obok kapitana czerwono-białych, pochmurny jak muchomór.

Piękny to był widok: zwycięzcy i zwyciężeni obok siebie, ramię przy ramieniu (oo! jak dużo zrobiłaś dla wszczepienia uczuć braterskich w dusze ludzkie przedpokojowa Ligo Narodów). Przed zawodnikami zaś jaśniał — niby uśmiech słońca — pan Kłapouch z pozłocistym puharem w dłoni, z głową spuszczoną, ze smutnym uśmiechem na wargach. Pan dyrektor wygłaszał właśnie przemówienie:

— Najdroższa Rodzino Sportowa!—powiedział, a głos mu zadrżał ze wzruszenia — Sport zdobył dziś panowanie nad całym światem, sport jest dziś potęgą największą. Dlaczego?—pytam. Dlatego, odpowiadam, że sport to najpiękniejsza, najwznioślejsza, najjaśniejsza karta naszej cywilizacji. Sport to heroizm ciał i wól, tak jest, bo wola w sporcie to 50% zwycięstwa. Oto wy, piękna zielono-żółta drużyno, przyjechaliście do wolnej, niepodległej Polski, tej samej, co to pierwsza w świecie uchwaliła konstytucję 3 maja. Jazda angielska, która walczyła z polakami za czasów Napoleona, do dziś dnia uważa to za zaszczyt dla siebie i słusznie. Wy zaś dziś dostąpiliście tego samego zaszczytu. Polacy zawsze słynęli ze swej rycerskości: rycerskość mamy we krwi. Mieliście okazję przekonać się dziś o tem. Przegraliście, bo każdy kto zaczepi Polaka, dostanie po łbie: mamy to już we krwi. Ale to nic. Bądźcie dumni, że walczyliście z nami, jak te durne konie jazdy angielskiej. Walczyliście i przegraliście: widocznie nasza drużyna jest lepsza. Lepsza drużyna dostanie w tej chwili nagrodę. Panie Kłapouch, niech pan wręczy puhar drużynie lepszej.

Tego co nastąpiło, nikt nie mógł się spodziewać. Pan Kłapouch spał widocznie i nie wiedział, kto został zwycięzcą. Bo oto patrzcie, patrzcie tylko: wyciąga rękę z puharem i wręcza go kapitanowi żółto-zielonych. Gdy ten zaś nie chce w pierwszej chwili przyjąć niespodziewanej nagrody, pan Kłapouch wpycha mu ją gwałtem i potrząsa jego prawicą, patrząc nań smutnie.

Publiczność, gracze, śmietanka, kolega-mędrzec Kłap-kłap-kłap—wszyscy oniemieli. Lecz w tej chwili rozległ się głos dyrektora, tętniący radością:

— O Przyjaciele, o Rodzino Sportowa. Oto macie prawdziwy gest Polaka, oto szlachecka rycerskość, korzeniami tkwiąca w duszy polskiej. Nam nie potrzeba oznak, nam potrzeba istoty. A puhar oddamy cudzoziemcom. Niech żyje Polska! Niech żyje pan Kłapouch!

Tłum rozentuzjazmowany wzniósł okrzyk, wielu płakało. Pan Kłapouch skromnie zwiesił uszy i ruszył z dyrektorem ku drzwiom wyjściowym. Ta skromność jeszcze bardziej zjednała dlań serca tłumów. Niektórzy nawet twierdzili, że pan Kłapouch cokolwiek się zarumienił.

* * *

Nie jestem pewien, czy wszystkie dzienniki podały, że puhar jednak został w ręku biało-czerwonych. Jakoby w szatni doszło na tem tle do jakichś zajść między obiema drużynami. Jakoby... ale któż o tem wszystkiem może wiedzieć dokładnie. Jedynie fakt wybicia dwóch zebów kapitanowi żółto-zielonych nie ulega, zdaje się, wątpliwości. Ale to przecie drobiazg—tylko dwa zęby. Zresztą... czegóż to nie mamy we krwi, my, Polacy.

Bal reprezentacyjny.

Pan Kłapouch wszedł na salę i zdumiał się. Widok, który uderzył jego oczy, był tak niezwykły, że mędrzec — zawsze spokojny i zrównoważony załopotał nerwowo uszyma i dotknął ręką czoła, jakby sprawdzając, czy ma w porządku wszystkie zmysły.

To co widział, wyglądało istotnie groteskowo i nieprawdopodobnie: tysiące mężczyzn i kobiet, objąwszy się parami, szorowało w takt myzyki lśniącą jak szkło posadzkę. Każda para wyczyniała dziwaczne ewolucje nogami bez żadnego rozumnego sensu. Pan Kłapouch odwrócił się raz jeszcze niespokojnie i spojrzał na stojącego obok dyrektora: ujrzał jednak na jego wargach uśmiech, który dowodził, że wszystko jest, jak być powinno. Pan Kłapouch w dalszym ciągu patrzył na salę.

Panowie byli ubrani we fraki, panie w barwne piękne suknie. Jak się rzekło, w takt muzyki suwali nogami po posadzce, niczem froterzy w Klubie Daltonistów. Nie musiała to być łatwa praca: perlisty pot zraszał czoła całego tego tłumu. Duszna atmosfera, tłok, gwałtowne ruchy, wleczenie się za partnerem czy partnerką, wszystko to nie musiało być miłe. Cóż za głębokie poświęcenie, cóż to za dobrowolna asceza, cięższa niż wszelkie męczarnie jogów indyjskich, jakiż płomienny idealizm pchnął tych ludzi do umartwiania się późno w noc... w miejscu publicznem... w oczach całego miasta? (c. d. n.).

Redaktor naczelny: ANTONI GOŁUBIEW. Redaktor odpowiedzialny: WITOLD RUDZIŃSKI.

Wydawca: WACŁAW TARASIEWICZ. Administrator: ALFONS KACZYŃSKI.



PAX — DWUTYGODNIK

WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie	bez przesyłki 3,90 zł.;	z przesyłką 4,80 zł.;	zagranicą 7,40 zł.;	w Ameryce 2,80 dol.
półrocznie	„ „ 2,10 „	„ „ 2,50 „	„ 3,90 „	„ „ 1,50 „
kwartalnie	„ „ 1,20 „	„ „ 1,40 „	„ 2,40 „	„ „ 0,90 „

UWAGA: Prenumeratę najwygodniej jest opłacać przy pomocy t. zw. przekazów rozrachunkowych (błękitnych).

OGŁOSZENIA:

Okładka: cała strona — 250 zł.; 1/2 strony — 140 zł.; 1/4 strony — 75 zł.; 1/8 strony — 40 zł.
Wewnątrz: cała strona — 150 zł.; 1/2 strony — 75 zł.; 1/4 strony — 38 zl.; 1/8 strony — 20 zł.

Redakcja i Administracja: Wilno, Zamkowka 14—1. Konto P.K.O. 144.229

T-wo Wydawnicze „POGOŃ“, Drukarnia „PAX“, ul. Ignacego 5, tel. 8-93.